Rok IV.

Nr. 16. **Nr. 16.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po 1½ sgr. od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 18 kwietnia 1874.

Ulica Wodna Nr. 15.

O czytelnikach nieczytających i czytających, — o czytaniu jako środku kształcenia się, oraz o najgłówniejszych przyczynach: „Czemu nasze Towarzystwa Oświaty Ludowéj są niepłodne i przy znacznych środkach a jeszcze znaczniejszych dobrych chęciach szukają do pochodu rumaków na których siedzą?“

przez

Władysława hr. Chotomskiego.

(Dokończenie.)

Ten tylko czytaniem kształcić się będzie, kto szuka piękna i prawdy, czyli taki kto myśli.

I kształci tylko takie czytanie, po którém odłożywszy xiążkę, z pamięci spisać się potrafi cały przebieg myśli czytanego kawałka; kształci tylko czytanie z piórem i ołówkiem w ręku, — a to dla tego, ażeby przepisywać sobie najcelniejsze zwroty mowy, najwybitniejsze myśli. Tak czytać długo — nie można. Rozkład czasu — jak w szkołach — jest do takiego kształcącego czytania niezbędny. Nie czytać dłużéj nad dwie godzin, a czytać tylko uznane za dobre xiążki — i to nie raz, ale po kilka razy. Demosthenes przepisał dla lepszego zrozumienia wszystkie dzieła Thukydydesa ośm razy i nauczył się ich na pamięć dosłownie. Dziesięć wierszy tak przeczytanych znakomitego dzieła więcéj wykształci, niżeli przeczytanych dziesięć tomów takiego, którego już raz drugi czytać chęć nie pobiera. Tak radzą Szaniawski, Libelt, tak Diesterweg i najnowsi kapłani pedagogji. „Nie goń za wielością — ale za wielem“ (non multa sed multum) radzili starożytni mędrcy. Gruntowność, głębokość myśli — wyklucza obszary, mielizny, powierzchowność, płytkomyślność czyli marzenie. Człowiek myślić — zwierzę tylko marzyć zapewne jest zdolne, — a że się myśli za pomocą wyrazów, nie można być wykształconym, gdy się nie szuka po słowniku znaczenia każdego, najpospolitszego nawet wyrazu.

Brak znajomości znaczenia wyrazów sprawia, że u nas są zwykle spory nie o rzecz, ale o znaczenie wyrazów. Ztąd wypływa ta pogarda wzajemna naszych partji i koterji, to niepobłażanie drugim (nietolerancja), te gniewy i fochy w łonie rodzin, w sąsiedztwie. Anglicy uczą znaczenia wyrazów ze słownika, kolejno wyraz po wyrazie, tłomacząc w klasach elementarnych przez lat dwa. Dla tego téż rozumieją się wzajemnie, — gdy my nie rozumiemy ani jeden drugiego, ani tego co czytamy dokładnie — choć mówimy nibyto jednym i tym samym językiem, bo nie trzymamy się znaczenia wyrazów według zasad mowy, według słownika, ale według naszego widzimisię. Na to za mało zwracamy uwagi, a nieszczęśliwy obłęd zakazywania uczenia się języka macierzyńskiego — rozbija nas jeszcze więcéj i tworzy ten zamęt pojęć, jaki nasze charakteryzuje społeczeństwo, mimo naszych znakomitych zdolności umysłowych i wbrew naszéj z gruntu szlachetnéj naturze. Ztąd u nas czułostkowość zagłusza czułość. Ztąd tak mało myślących z „owczarskim rozumem!“

Jest uprzedzeniem, że: czytanie pobudza do myślenia. Zaiste to jest mylném. Pierwsze trzy kategorje czytelników najczęściéj bałamucą się czytaniem dla tego, że zwykle szukają w czytaniu „zabicia nudów.“ Myślący nie może się nudzić, bo prawda i piękno otaczają go wszędzie i zawsze. Kto się nudzi — tém samém dowodzi że nie myśli — ale marzy. Cechą myślenia jest to: że jakikolwiek przedmiot wzbudza

w myślącym całe szeregi uwag i sądów, jak n. p. widziemy to we wykonaniu rachunkowego zadania. W myślącym fantazja ustępuje kroku logice. Bardzo mało ludzi umie myśleć — a nasze szkoły i xiążki nie wiele przyczyniają się do téj nauki, — rzeklibyśmy nawet, omijają to ćwiczenie umysłowych sił. Myślenie trudném jest dla człowieka (das Denken fällt den Königen schwer) trafnie powiedział Heine. Za to marzenie — il dolce far niente — takie miłe!... Ono patrząc na kwiatek, niby motyl przelatuje na kamień, — z kamienia na osoby, — z osób na gwiazdy, — z gwiazd na błoto — nie badając nic — a bawiąc się wszędzie. Czytanie rozbudzające marzenia — wprawia ostatecznie czytających w lenistwo umysłowe i fizyczne. Człowiek zatruty takiém czytaniem -- opuści wszystko mu najdroższe! Bywały wypadki, że dzieci konały — a matka od czytania oderwać się nie chciała!... W naszych czasach lenistwa umysłowego — ilustrowane pisma są właśnie wynikiem: schlebiania marzeniom. Romanse francuzkie, niemieckie i angielskie — a teraz nawet i polskie — nawet od czytania uwalniają marzycielów. Któryż z nich weźmie grubą xiążkę, nie ilustrowaną do ręki?... a niechby ona i świat zbawiła!!... Dla tego dzienniki są taką ulubioną strawą współczesnych — i one tym ludziom wystarczają za wszystkie bibljoteki. Same napisy: Paryż, Rzym, Ameryka, Pożar, Złodziejstwo, Mord, Powieść, Giełda i t. d. zaprzątną już najzupełniéj marzenie bez dalszego czytania. Nie ma numeru z polskich dzienników, któryby nie zawierał wielkich prawd, głębokich myśli. Czy to „Kraj“ czy „Kurjer Poznański“ — „Wieść“ czy „Orędownik“ — „Czas“ czy „Ognisko“ — a mimo to jak często rzucają je z pogardliwém: „nic w nich nie ma!“ — „ach jakie jałowe!“ jeżeli w treści nie zawierają jakich wstrząsających cały system nerwowy zbrodni, niespodzianek, walk. Ten brak umiejętności myślenia, ta manja marzenia, która niby wyczka pszenicę — przygłusza potrzebę szukania prawdy i piękna — sprawia dziś panujący materjalizm, gonienie za użyciem bez wysileń, owe gry w giełdy, w loterje, owe gorączkowe pragnienie gwałtem i raptem stawania się bogatymi!... Nie uskarżamy się na to — bo to piętno czasu, jak w jesieni opadanie liści i pozorowe zamieranie drzew i kwiatów. Wiemy że tego snu umysłowego nie wstrzyma żaden głos ludzki. Tak ten duchowy, jak nasz cielesny sen pokrzepia — i pokryjomu przygotowuje siły do następnego ukazania się ich, gdy nadejdzie pora wiosny. Lecz marzenie to najruchliwszych warstw społeczeństwa — nie jest do tyla ogólném, ażeby tu lub owdzie ktoś nie czuwał — a czuwać mają obowiązek naczelnicy ruchu umysłowego naszego społeczeństwa, a między innymi — i naczelnicy stowarzyszeń oświaty ludowéj w Czerniowcach, we Lwowie, w Krakowie i Poznaniu.

Samo istnienie tylu pism naszych czasowych jest dowodem, że wielu czuwa, — a przynajmniéj drzymie tylko. Otóż przez wzgląd na tych ostatnich wypada, ażeby przynajmniéj tych nie obchodzić na paluszkach — ale trzeźwić. Wypadałoby korzystać z tych usposobień do marzenia — i zkierować je ku myśleniu. Kto czyta czy dla zabawy, czy dla ciekawości, czy dla zaspokojenia swych uczuć — objawia przynajmniéj pewien stopień czuwania. Śpiący duchowo — nie czytają nic a nic. Słabiuchne ich siły umysłowe pochłania zatrudnienie codziennego życia, a dosłyszane nowinki zadowolnią. Ale gdy kto już czyta dla zabawy, tego można rozciekawić — niechby i ilustracyą... Rozciekawionego już łatwiéj zwabić — do rozbudzenia w nim uczuć. Takiego jeszcze łatwiéj wprowadzić na jaką prawdę, zwrócić mu uwagę na jakie piękno — i do badania go przysposobić, oraz ośmielić do poszukiwania piękna i prawd. Z tego stopnia już sam dojdzie do badania onychże praw. — Tak postępuje się w dobrych szkołach, tak powinny postępować i stowarzyszenia dbające o oświatę ludową. Takim postępowém, na zasadach pedagogji opartym materjałem do czytania powinny się przedewszystkiém zająć te stowarzyszenia.

Na nic się nie zda kupowanie xiążek i rozdawanie ich choćby darmo, — bo tu się ma do czynienia najwyżéj z czytelnikami pierwszego i drugiego stopnia czy kategorji. Jeżeli z atletów myśli sądzić będziemy po wrażeniu jakie na nich sprawia sam widok dzieła kilkudziesięcio tomowego a które przeczytać mają, — to najniezawodniéj strach ogarnie słabiuchnego na samą myśl przeczytania dziełka kilkudziesięcio kartkowego! Toć tym ludziom już przesylabizowanie kilku wierszy jest częstokroć pracą mozolną. Taki czytelnik z pojedyńczych wyrazów, często źle przeczytanych, marzy o rzeczach, o których się autorowi, który pisał, ani śniło... To samo, choć we wyższym stopniu, stósuje się do czytelników nawet czwartéj kategorji.

A jeszcze jeżeli zwrócimy i na to uwagę, że autorowie zwykłych xiążek — nibyto dla ludu pisanych, są albo pensjonarki poczynające myśleć, albo niedouczeni gimnazjaści, albo nauczyciele elementarni z żywszym polotem szlachetnych uczuć, to każdy przyzna — że takich autorów marzenia nie wzbudzą sił, nie rozwiną ich — w trudną sztukę myślenia samoistnego. Ledwo może tysiączny z tak zwanych wykształconych naszych ludzi — jeden zaledwie jest rzeczywiście myślącym sam ze siebie. Takiego zdanie — powtarzają tysiąc bez jednego — tak zwanéj inteligencji krajowéj — a za nią kraj. Ludzi takich samoistnych jest wiele mniéj po miastach niżeli po wsiach; a w tych tylko pomiędzy takimi, którzy z miastem mają częstą styczność. Tam usłyszaną nowość, gdy wraca zwykle samotnie siedzący na powózce, lub pieszo idący ziemianin — przetrawia, przeżuwa; gdy w miastach codzienny nawał nowości przeszkadza temu, ażeby się nad taką nowością należycie zastanowić — pomyśleć o niéj. Ztąd tak łatwe po miastach agitowanie, a takie trudne w ludności wiejskiéj. Ztąd więcéj marzeń w miastach niż po wsiach — owych siedliskach „oryginałów“, t. j. ludzi samoistnego myślenia, wyszydzanych przez naśladownicze tłumy krzykliwéj, ruchliwéj, nerwowéj i najzupełniéj marzącéj inteligencji miastowéj — lub zbałamuconéj przez nie nawet i młodzieży wiejskiéj — w skutek przebywania w gromadnéj, zbitéj w jedno, miastowéj ludności. Wypływa to z natury rzeczy. Ale właśnie to powinno zwrócić uwagę stowarzyszeń oświaty ludowéj i na środki — znacznie łatwiejsze do oświecenia ludu po wioskach, niżeli po miastach, gdzie tak zwany „owczarski rozum“ jest rzadkością. Ten owczarski rozum jest właśnie najdzielniejszą dźwignią ludowéj oświaty — i tylko go właściwie rozbudzić w masach wypada — a stowarzyszenia oświaty ludowéj zupełnie dopną celu.

Ten cel atoli dotąd bywał nieuwzględniany. Rozrzucano na chybi trafi dzieła i dziełka, nie pytając się wiele czy kto je czytać będzie — a jeszcze mniéj troszcząc się o to, czy będą zrozumiane. Wzmiankowaliśmy że znaczniejsza część tych dzieł nibyto ludowych — są po prostu — do niczego: pod względem treści, formy, stylu i mowy. Są nadto za obszerne, za trudne do czytania ztrudzonym cieleśnie — a nie przywykłym do prac umysłowych. Ztąd często gospodynie wiejskie używają te dzieła, może najstósowniéj, do zalepiania szyb, do zawijania sera, masła i t. p. — Na taką oświatę wydają się znaczne sumy.

Inaczéjby było, gdyby rozrzucano pismo kilkustronnicowe, a nie suto, owszém jak najoszczędniéj — ale właściwie ilustrowane, t. j. nie scenami mordów i pożóg, topień i wieszań, jak to czynią nakładcy dla trzeciego stopnia czytelników, ale samych przedmiotów piękna i prawdy, ilustracji do prac popularnych ludzi fachowych, najzdolniejszych, przez pierwszorzędnych li-

teratów i uczonych. To darmo! — ale tylko gruntownie znający rzecz, pojętnie ją przedstawi. Najmętniéj zaś bałamucą pół-mędrki, o których dawny już węgierski filozof powiedział, że im światlejszy jest człowiek, tém więcéj się zbliża do aniołów, — ale pół-mądry gorszym jest od djabła. Niech uczą ci co się uczą, to dobrze, ale niech uczą z dzielnych nauk mistrzów — nie partaczy.

Do jakiego bałamuctwa doszło nasze europejskie społeczeństwo przez nauki darwinistów. Nam nie zbywa na ludziach cichéj i sumiennéj pracy, — ale nam zbywa na piśmie, któreby ich prace koncentrowało. A zkoncentruje je tylko takie pismo, które opłacać zdolne ich prace. Stowarzyszenia oświaty niechby się połączyły w jedną kasę, — a będzie dość pieniężną — ażeby, już nie powiemy założyć takie pismo, ale zasilić już założone, podjęte w tym kierunku — siłą prywatną. Niechby poparły n. p. Ognisko, ale nie tyle dbające o materjalizm, nie tak wyłącznie praktyczne, — bo nie samym chlebem żyjemy. Niechby Stowarzyszenia oświaty ustanowiły komitet redakcyjny, sowite nagrody konkursowe, i niech się konkurs ogłosi nietylko za artykuły, ale i za ilustracje, rysunek i rytowanie, a sowicie niech wynagradza najlepsze. Niechby takie 8 stronnic rozrzucano w 6—8,000 exemplarzów po wsiach ludziom z „owczarskim rozumem“, darmo nawet, — po gościńcach, po szkołach, towarzystwach, przez rok lub dwa, — a w trzecim roku najniezawodniéj znajdzie się w Galicji z Bukowiną, Szlązku, Poznańskiém i w Prusach tylu abonentów, ilu ich ma „Bazar“ lub „Gartenlaube.“ Ręczyćby można, że takim zasiewem Stowarzyszenia oświaty ludowéj — miałyby w trzecim roku i plon umysłowy i plon pieniężny — o jakim dziś tylko marzyć mogą.

Stowarzyszenia religijne także tak sieją — i zbierają miljony — rozdając darmo miljony obrazków i medaljoników, biblje i xiążki do nabożeństwa. Czyżby i myśli krzewiciele nie mieli tego zysku, co krzewiciele uczuć religijnych? Dziś xiążka do nabożeństwa jest u ludu potrzebą, a u naszych głowaczów po miastach mianowicie stało się potrzebą piwo i czcza plotka — pod maską czytania gazet. Niechby i żony tych inteligentnych miały coś w domu — czego zrazu nie kupi pan małżonek, ale gdy po roku lub dwóch takie coś co tydzień będzie stałym gościem — to i znajdą się sposoby, że zapłaci się to, co się stało bezpłatną z czasem potrzebą domową, i po miastach poczną się coraz to gęściéj pojawiać: „owczarskie rozumy.“

Środki na to, te rumaki do pochodu, mają stowarzyszenia oświaty ludowéj i będą ich miały więcéj, choćby w roku jednym wyczerpały swój kapitał zapasowy czy rezerwowy. Z téj rezerwy w szafie żelaznéj nie tryśnie oświata ludowa. Że mają rzeczone stowarzyszenia jeszcze więcéj dobrych chęci niż pieniędzy, świadczy sam czyn p. Młockiego — który rozdarował tysiąc dzieł; ale tym tysiącem rozdanych dzieł — choćby one nawet więcéj miały w treści i papierze wartości, niż tysiąc perjodyjnie, co tydzień rozdanych numerów pisma o jakiém mówiliśmy, — najniezawodniéj nie wywrze tyle zbawiennego wpływu, co ostatnie. To nie ulega wątpieniu! A takie pismo tygodniowe posili żywych, z głodem walczących artystów i autorów chlebem, a oni w zamian dadzą ludowi i piękno i prawdę.

Czegóż więcéj szukają jeszcze te coś na banki zakrawające stowarzyszenia? Jeżeli się udało Marcinkowskiemu ustanowić instytucję kształcącą tyle młodzieży po szkołach, uniwersytetach i zakładach sztuk, handlu, przemysłu i rólnictwa, — miałyżby być bezsilnemi te stowarzyszenia na wydawanie choćby jednego takiego pisma? Czyż nie mają środków po temu? Nie potroszczą się z niém o kolporterów, o korespondentów, o odbieraczów, o czytelników — bo każda baba, każde dziecko będzie wyglądało z radością numeru z obrazkami i z treścią kierującą ku myśleniu.

Toż prawdę rzekł Trentowski: „Światło głowy staje się gorącém serca — a piorunem ręki.“

Skoro znów myśleć a nie marzyć zaczniemy, to znajdzie się pomiędzy nami i miłość bliźniego, a przez nię i solidarność; nie zabraknie nam jeszcze chleba dla swoich i dla obcych; nie będą dla nas strasznemi krachy, nie będziemy się skarżyli na emigracje do Brazylji, ani na brak kredytu i zasobów.

Czyż nie warto się pokusić o to — ażeby użyć chęci czytania, objawiającéj się w rozmarzonéj publiczności — za środek do ćwiczeń myśli i zkoncentrować choćby przez rok jeden najdzielniejsze potęgi umysłowe w nauce, literaturze i sztuce — w jedno ognisko dla oświaty ludowéj? Niechby po roku i zbankrutowały stowarzyszenia oświaty ludowéj — a potomność przyklaśnie im serdeczniéj, niżeli my zgrzytamy na bankructwa Tellusów.

Mądrość Słowiańska

przez

Tadeusza Komara.

1.

Walcz synu ziemi, bo życie jest bojem
W którym zwycięztwo kupuje się znojem.
Żyje, kto walczy; — a ci co spoczęli
Zmarli dla życia, jak owi anieli
Którzy pokorę rajską z siebie zdjęli,
Zmarli dla Boga, piękna i miłości
I odpoczęli w wieczystéj ciemności.

2.

Cierp' synu ziemi, bo zacne cierpienie
Chorobą muszli która perły rodzi,
A ową perłą do czynów: natchnienie,
Co w boju życia do zwycięztw przewodzi.
Przez czyściec cierpień przebyty z godnością
Droga ciernista wiedzie do owego
Za życia duszy pokoju bozkiego,
Co ducha ziemską jest doskonałością.

3.

Cierp' synu ziemi; ziemia nie jest rajem,
Co wiecznie kwieciem wdzięczy się i majem,
Lecz tylko z raju przechodniem wygnaniem,
A śmierć, — to ducha z gliny zmartwychwstaniem!
A więc się pogódź z żywota cierniami,
Niech ci wytrwania będą one próbą;
Niech one będą ci razzéj bodźcami,
By z walk żywota wyjść ze czcią i chlubą. —

4.

Cierp'; umiéj cierpieć bez łez i bez skargi,
Choćby z boleści do krwi pogryźć wargi,
Cicho, z godnością i z podniosłem czołem;
Cierp', a bądź rzewnym pociechy aniołem:

Dla wszystkich krzyżem żywota zmożonych,
Wszystkich dusz chorych, wszystkich serc ztęsknionych.

5.

Jak Chrystus chlebem na puszczy łaknących,
Ty dziel się sercem między współcierpiących;
Nie zbraknie, choćbyś dzielił się wiek cały!
Ileś serc bratnich miłością obdzielił,
Tyleś serc bratnich w twoje serce wcielił,
I będziesz sercem jak Krezus wspaniały!
Miéj dłoń gotową dla tych co w zwątpieniu
Na drodze życia drzemać się pokładli,
Gotowe barki dla tych co upadli
Pod krzyżem losu w słabości omdleniu.

6.

Pracuj i kochaj, boś do pracy zrodzon,
Boś pod przekleństwem Adamowem spłodzon.
Pokochaj pracę! znojem zacnéj pracy
Podlane prawdy ziemskiego żywota,
Obficie kwitną kwiatami ze złota!
Pracuj z miłością nie myśląc o płacy,
Dla dobra wszystkich, a najmniéj dla siebie,
A Bóg pomyśli o twym ziemskim chlebie!
Nie trwóż się pracy choć twardszéj od stali,
Bo nie masz w świecie, czego w imię Boże,
Gdy duch obejmie, a chęć się zapali
Jasnym płomieniem, — dziarski czyn nie zmoże!
Sam pot płynący z twego czoła gradem
Niby rdza stanie się trawiącym jadem!
Pracuj i kochaj, boś do pracy zrodzon,
Boś pod przekleństwem Adamowem spłodzon.

7.

Sprawiaj twą rolę jak umiesz, a szczerze,
A sercem sprawiaj, choćby nie dla siebie.
Sprawiaj jak umiesz! od uczonéj wiedzy
Mędrszą, o wierz mi, chociaż nie uczona,
Chęć zacna, zacnie i dzielnie spełniona!
Lecz nie od słońca lub zmiennéj pogody
Wyglądaj bujnéj twych siewów urody,
Ni trwóż się płonnie dżdżami, grady, suszą;
Grzej niwę własną gorejącą duszą,
Ciepłem serdeczném i miłości tchnieniem;
Świeć jéj cieszącym nadziei promieniem,
I blaskiem wiary twéj, któréjby siła
W kamieniu życia tętno ocuciła,
A perły rosy zastąp' czoła potem!
I sprawiaj niwę nie szczędząc zachodów,
Choć bez nadziei doczekać z niéj płodów,
A błyśnie niwa szczerem prawdy złotem!

8.

Siej dobre ziarno chociażby pod nogi
Wieprzom bezmyślnym! Siej, choćby twe wrogi
Nie ty, dojrzały plon twéj niwy zżęli!
Nie trwóż się; — siejba twoja nie przepadnie!
Tém samém ziarnem wydartém ci zdradnie,
Tąż myślą, którą w nienawiści mieli
Przejmą się wrogi, gdy z ziarna owego
Raz zakosztują chleba duchowego.

9.

Buduj! nie letnie pałace karciane
Wzniesione tylko ku wiatrów wygodzie,
Nie wieże chińskie, nie zaczarowane
Zamki zimowe co stoją na lodzie;
Buduj, nie liche szałasy łatane,
Aby na dzisiaj tylko, byle z czego,
Byle doczekać do dnia jutrzejszego,
Co lada iskra zapomnienia spali
I lada burza by najmniejsza zwali,
Lub same przez się runą niespodzianie
Na nieoględne głowy budowników;
Środ żalu późnych niestety okrzyków
Za nieobaczność ich na ukaranie. —

10.

W Boga miłości i twéj sprawy imię
Ty buduj gmachy na wieki potomne,
Poważne, silne, wzniosłe a niezłomne,
Co w swe kamienne objęcia olbrzymie
Nietylko lud swój obejmą z miłością,
Lecz nie zmaleją przed całą ludzkością!
Ty buduj gmachy któreby przetrwały
Ziemi i piekła pioruny zniszczenia,
I gdzieby późne, późne pokolenia
Modły za duszę budownika słały.
Ty buduj gmachy godne w sobie mieścić
Spuściznę wieków, ojczyste świętości,
Księgi narodu, i praojców kości,
I szczęty znamion! godne by w nich mieścić
Myśl, chęć i zgodną wolę narodową,
Dzisiajsze prawdy i jutrzejsze słowo;
Godne w dzień święty być przybytkiem Boga,
A w dni obrady komnatą sejmową,
A w smutnym razie twierdzą przeciw wroga.

11.

Buduj w dobranych budowników gronie,
Których ze znojem oswojone skronie
Niby z powszednim chlebem; w których łonie
Serca jak jedno biją ku jednemu,
A nieposłuszne nikomu, niczemu,
Prócz wspólnéj myśli, jednozgodnéj chęci,
Wiecznie obecnéj w czynach i pamięci.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Opieka i Opiekunowie.

Powieść

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy.)

III.

Jeszcze przed godziną dziesiątą z rana dnia następnego zjawił się Idzi Węgielewski w mieszkaniu Nawrocińskiego.

— Chcę uprzedzić kochanego Jasia — wymówił układnie — i okazać mu, o ile odnowienia naszéj szkólnéj pragnę przyjaźni. Czy już wyszedł?

— Jest w swoim pokoju. Poproszę go zaraz.

Wyszedł i Solińskiego wprowadził.

— Kochany, dobry panie Janie! uścisnął go Węgielewski i w obadwa pocałował policzki. — Otóż pospieszyłem pierwszy do ciebie. Żona moja o mało że się nie popłakała na wspomnienie o tobie. Wszakże z pewnością będziesz dziś u nas? uścisnął go znowu.

— Pozwolisz, to złożę swoje uszanowanie.

— Bez ceremonji! Bez wszelkiéj ceremonji! Ucieszysz nas niezmiernie. Zabawimy tu trzy tygodnie, więc przybywaj codziennie. A potém, gdybyś z nam

chciał na wieś pojechać, jakże bylibyśmy szczęśliwi! Na wiosnę, na lato całe!

— Serdeczniem wdzięczny za to wezwanie, mój łaskawy panie Idzi, ale nie jestem bardzo panem swojego czasu. Szukam zatrudnienia, szukam pracy... Chciałbym posadę jaką pozyskać.

— Jakążby posadę?

— Przy gospodarstwie rolném, przy fabryce jakiéj. Muszę postarać się o co, by na chleb zarabiać.

— Dołożę wszelkich usiłowań, by tobie stać się pomocą. Może potrafię coś obmyślić, dowiedzieć się o czémś, coś wyszukać...

— Dziękuję ci!

— Mam wprawdzie dużo zajęcia, dużo trudów na głowie i karku, ale jestem przedewszystkiém na twoje usługi. — Pasierb niejeden czyni mi kłopot, a panicz! Utemperuje się to jednak i będzie dobrze: każde piwko wyszumieć musi. Kosztuje on wiele... Edukacja jego wielką pochłonęła sumę, pozwolił i pozwala sobie dużo, zwyczajnie jak młody... ale da Bóg to i będzie z niego pożytek. Na Nowy Rok zapłaciłem całe ośmdziesiąt tysięcy franków, bo chłopczyna dłużków narobił znowu. A tam jest lichwa okrutna!

— To i czemuż lepiéj do kraju nie wraca?

— No... musi tam uczyć się jeszcze: chce tego matka i opiekunowie. Dobra wydzierżawione, budowa pałacu ledwo zaczęta. Chłopak śliczny! Sprytu dużo i nauki także, potrzeba przyznać. Maniery wykwintne, ależ jak! Zrobi los. — I panienka cacana, nieprawdaż? Kosztuje i to niemało, ale jest pociecha. Utalentowana, wykształcona. Prawdziwie podziwiać ją można. Już to żonie mojéj potrzeba oddać sprawiedliwość, że umiała jéj edukacją poprowadzić.

— Tylko, że to za granicą!

— No... tak. Ale matka pragnęła, a ja uległym jestem małżonkiem. Opiekunowie również byli za tém. Zresztą, panny pierwszych rodzin kształcą się zawsze za granicą. Więc nie mogłem przeszkadzać. A mogliby mi jako ojczymowi i zarzucić, że brużdżę, że sknerzę.

— Pewno ją odbierzecie niezadługo?

— Jak żona zechce i opiekunowie. Kształci się tam jeszcze na wyższą skalę w muzyce, w malarstwie, w językach.

— Masz także własnego syna.

— Dwunastoletnie pacholę. Dobre dziecko.

— I nie oddałeś go do szkół zagranicznych?

— Nie stać mnie i bardzo... wedle stawu grobla. Mamci ja tam mająteczek, Pan Bóg pobłogosławił, ależ i szczędzę. Odwiozę go późniéj może. Nie będzie tak majętnym jak Adolf i muszę go wychować praktycznie.

— Bardzo słusznie. Praktyczność przyda się każdemu.

W téj chwili wszedł pan jakiś — wyraźnie szlachcic wiejski. Powitał prawnika — a potém całował się z panem Idzim, że aż kląskało.

— Pan Rudawski — przedstawił go gospodarz — pan Jan Soliński.

— Szczęśliwy, że mam zaszczyt.

Soliński w milczeniu rękę mu podał.

— Panie Idzi! Sąsiedzie kochany, jedyny! zawołał i zaraz, zwracając się znowu ku niemu — a co to był za koncert! Koncert kapitalny, słowo honoru! Panna Cecylja, to druga Malibran, jak Boga kocham! A gra a r t e, co się nazywa.

Pan Rudawski znać sobie w téj chwili żadnéj pianistki lub pianisty przypomnieć nie mógł, by z niemi Cesię porównać.

— Jesteś zbyt łaskaw, panie Karolu, ale rzeczywiście, że panienka utalentowana. Matka miała o nię staranie wielkie i opiekunowie.

— I ty, panie Idzi, i ty także, najzacniejszy z ojczymów!

Pan Idzi się pokłonił, uścisnął mu rękę, a potém na dzisiejszy zaprosił go wieczór. Posypały się znowu kadzidła różne. Następnie pożegnał się pan Idzi, a pan Rudawski poszedł do kancelarji prawnika.

* * *

Soliński nie zastał pani Węgielewskiéj w południe. Więc wieczorem, przed siódmą jeszcze, udali się z Nawrocińskim, by panią Ignację nie w obec gości powitać.

Lokaj otworzył im drzwi do pokoju pana domu. Zastali tamże Rudawskiego i drugiego jeszcze pana wraz z gospodarzem przy szampanie.

— Kochany, jedyny Jasiu! zawołał Węgielewski. — Drogi Wicusiu! Witam, witam serdecznie! — i uściskał obudwóch. — Kieliszków więcéj! rozkazał lokajowi.

— Ale idźmyż raczéj do pani domu — ozwał się Soliński.

— Pójdziemy zaraz! Zaprowadzę cię... Na powitanie pana Jana Solińskiego! Szczęśliwego powrotu! zawołał Węgielewski wznosząc kielich. — W ręce twoje panie Wincenty! — i przechylił go.

Gdy koléj obeszła, podjął Soliński swój kieliszek.

— Na podziękowanie! wyrzekł i wypił połowę.

Po chwili wprowadził gospodarz domu niecierpliwego pana Jana do salonu. Trzéj panowie przy butelce zostali jeszcze.

— Ignaciu, prowadzę ci gościa upragnionego — zagadał pan Idzi do żony.

Pani Ignacja — strojna w czepek z różą — podniosła się z fotelu.

— A! — wymówiła z wdziękiem — nie mylą mnie oczy: pan Jan Soliński! i wyciągnęła obiedwie ku niemu ręce. — O jakżem szczęśliwa! Z jakąż radością wszyscy witamy pana!

— Wdzięcznym z całéj duszy za tyle uprzejmości! odrzekł, całując ją w rękę.

— Tak często wspominaliśmy pana.

„Tytus!“ odbrzmiało we wnętrzu Solińskiego.

— Ś. p. Tytus tak pana kochał! — była to odpowiedź przypadkowa na ciche westchnienie przyjaciela nieboszczyka.

— Wierzę — odrzekł — bom i ja go kochał.

— Idzi toż samo, tak serdecznie mówił zawsze o panu Janie.

„Nie wierzę“ — odgłosiło się na dnie duszy jego.

— Siadaj, panie! Pogadamy sobie szczerze, otwarcie — przyciągnęła go obok siebie na kanapkę.

— Pan zapewne tęskniłeś wiele, cierpiałeś?

— Odgadujesz to pani.

— Idzi z taką radością mówił mi wczoraj o powrocie pana. Och, często będziemy z sobą, nieprawdaż?

— Państwo tyle jesteście łaskawi. — „Zkądżeż na raz ta wielka przyjaźń? Nie znaliśmy się tak wiele?“ pomyślał sobie Soliński.

— I na wieś, panie, przyjedziesz do nas!... Słyszałeś wczoraj naszą Cesię?

— Słyszałem, pani, i roztkliwiła mnie — powiedział prawdę. — „Czemuż wyrzekła n a s z ą?“ zapytał siebie w duszy. — „Do kogóż ściąga się ten wyraz? Czyliż do Idziego?“ — i mimowolnie uśmiechnął się smętnie.

— Dobre, kochane dziecko! mówiła matka daléj. — Wiele korzystała z nauk. A teraz wydoskonali się jeszcze w śpiewie, w rysunku i malarstwie... Każę ją przywołać.

Zadzwoniła i rozkaz lokajowi wydała.

— I Adolf, syn starszy, będzie dla nas pociechą.

„Pociechą!“ odgłosiło się w duszy przyjaciela Tytusa — „pociechą dla Idziego!“ boć teraz to d l a n a s już wyraźnie ściągało się do Węgielewskiego.

— Niezmiernie zdolny... i bardzo do ojca podobny.

Do salonu weszła pani de St. Gilles z Cesią i dalszą rozmowę o Adolfie przerwały.

— Monsieur de Soliński, madame la baronne de St. Gilles — przedstawiła pani domu. — Cesiu, pan Jan Soliński.

Panienka skłoniła się prawidłowo raz drugi.

— Miło mi bardzo poznać panię — zagadał Soliński do niéj, z tkliwszym w głosie odcieniem. — Żyłem w ściśléj przyjaźni z ś. p. ojcem.

— Ah oui! Vous avez été l'ami de mon père, papa me l'a dit — odrzekło dziewczę.

Ktoś inny w miejscu Solińskiego byłby uśmiechnął się pewnie na to użycie wyrazów père i papa. Panienka ani przeczuć mogła jaki to im nadało charakter. Ale znękany życiem przyjaciel ś. p. Tytusa raczéj ból poczuł w piersi.

Właśnie nadeszli panowie z pokoju gospodarza domu.

— Pomówmy trochę, panno Cesiu — ujął jéj rękę i posadził ją obok siebie na kanapce w narożniku, gdy prawnik umyślnie ożywioném opowiadaniem zajął drugich. Baronowa czytała Independance belge.

— Pani, oczywiście, nic nie zapamiętałaś o ojcu? zagadał Soliński do Cecylji.

— Rien du tout.

— Był to zacny bardzo człowiek. Mówiono ci o nim nieraz.

— Oui, monsieur, maman m'en a parlé — odrzekła obojętnie — et papa aussi.

„Ten papa!“ — zgrzytnął Soliński zębami.

— Czy panna Cesia po polsku nie mówi? zapytał zrażony jéj odpowiedziami.

— O, que ci! Mówię — uśmiechnęła się. — Alem przyzwyczajona mówić zawsze po francuzku.

— Czy na pensji Polek nie ma?

— Owszem, są.

— I pomiędzy sobą mówicie także po francuzku?

— Nie zawsze, mais...

— Rozmawiaj ze mną po polsku i pozwól, panno Cesiu, bym tobie ty mówił.

— Proszę! wyciągnęła ku niemu rączkę z wdzięcznym wyrazem.

Przybyło kilka osób. Nastąpiły prezentacje, lecz Soliński przy panience pozostał. — Panie bardzo dworowały Francuzce.

— Czy uczyłaś się, Cesiu, języka swojego i literatury?

— Pan Konarowicz daje na pensji lekcje une foi par semaine.

— Raz na tydzień! powtórzył Soliński. — To jest bardzo mało.

— Są inne nauki — zadarła panienka noska.

— Najważniejszą nauką jest język własny. I wy, Polki, będąc za granicą, nie mówicie swoim pomiędzy sobą językiem?

— Nie pozwalają. I też nie lubimy.

— Nie lubicie mówić po polsku? Niepodobna!

— Jest to język... un peu barbare, — peu cultivée... sans chic...

— Cesiu, przez miłość Boga! Nasz język jest o wiele piękniejszym i bogatszym od francuzkiego!

Cecylja spojrzała nań z niedowierzaniem.

— Czy tobie nikt tego nie powiedział jeszcze?

— Mówił pan Konarowicz... i Róża Żelicka, une pensionaire.

— A znasz-że poetów naszych, moja Cesiu?

— Pan Konarowicz czytał nam Grażynę Mickiewicza.

— I cóż więcéj?

— Treny Kochanowskiego. Najczęściéj dyktował nam tylko. Prozę czytywałyśmy głośno.

— Dyktował wam, ażebyście pisać umiały, i czytać uczył, wprawiając was w wymowę.

— To było takie nudne.

Soliński stłumił westchnienie.

— Teraz pan Konarowicz choruje ciągle.

— I język polski został całkiem zaniedbany?

— Nie było teraz lekcji żadnych.

— A same polskich nie czytujecie książek?

— Róża bo dużo umie na pamięć i deklamuje, et puis...

— Po polsku, droga Cesiu!

— Miała zawsze polskie książki i czytała nam czasem głośno... Mais... ja wolę francuzkie.

— Zkądże była ta panna Róża?

— Z Krakowskiego. Babka jéj koniecznie chciała, ażeby ją rodzice do Bruxeli na pensją oddali, bo sama kiedyś była w Paryżu. A Róża tęskniła za domem i z nami tylko rozmawiała po polsku, chociaż guwernantki łajały.

— Więc ciebie polskie nie zajmują książki?

— Panienka na chwilę zamilkła, a potém głową pokręciła.

— Mam właśnie śliczną książeczkę przy sobie, którą dziś wziąłem z księgarni: Czy nie znasz Pieśni o ziemi naszéj Wincentego Pola.

— Nie.

— Chciéj ją przyjąć odemnie, drogie dziecię. Przeczytaj jutro. A gdy wieczorem przyjdę, pomówimy o niéj. — Cesiu, a czy tam w Bruxeli nigdy nie zatęskniłaś do kraju?

— Do mamy, do papy... Mais enfin... w Żórawinie tak jest nudno.

— Nudno?! — Soliński stłumił westchnienie. — Nigdy nie potęskniłaś za krajem? . Och dziecko moje! Jam przez lat dwadzieścia pięć był wygnańcem z ojczystego raju... płakałem za nim łzami krwawéj tęsknoty.

Cecylja spojrzała się na niego z zajęciem. Znowu kilka przybyło osób — i przedstawiono im pana Jana Solińskiego, nawet z emfazą pewną.

— Cesiu — mówił daléj, gdy i ta fala przepłynęła — jestem mężczyzną, a z żalu tęsknego płakałem nieraz. Kochaj kraj twój, dziecko, bo miłość Ojczyzny jest najwyższą po Bogu miłością! Ojciec twój kraj kochał, całą kochał go duszą! I był to wzór zacnego i prawego obywatela. Cesiu, nie kochać ojczyzny swojéj, oznacza oschłość wszelkiego uczucia, brak duszy i serca, brak umysłu wyższego, poczucia obowiązków najświętszych, a nawet i religji! Jam za kraj cierpiał, i mimo to kochałem go coraz goręcéj!... Cesiu, ty masz duszę i serce niewyziębione; tobie tylko nikt o téj wielkiéj nie powiedział miłości, nie rozniecił w młodziutkiém sercu iskierki Bożéj... które dotąd niby odłogiem leżało. Ale ty pokochasz Polskę! Ty ją kochasz mimo własnéj wiedzy, bo polskiém urodziłaś się dziewczęciem: bo jesteś córką Tytusa!

— Mon dieu!... Mój Boże! panienka łzy miała w oczach.

Soliński mówił jéj daléj wśród gwaru salonowego w około. A słuchała go z licem płonącém i oczyma, w które cała zbiegła się dusza. Spojrzał w lubą twarzyczkę, pełną wyrazu — i poczuł błogość nieokreśloną: w jéj żyłach krew Tytusa krążyła — żył w niéj duch jego, tylko go zbudzić było potrzeba! — Przetarł oczy — przycisnął dłonią czoło — i powiedziawszy sobie: „Dość na dziś będzie!“ — niby obojętnym zapytał głosem:

— Czy Cesia wczoraj po raz pierwszy wystąpiła publicznie?

— Tak.

— Nie grywałaś i nie śpiewałaś w Bruxeli nigdy w obec liczniejszego zebrania?

— Nigdy.

— A jednakże byłaś wczoraj tak odważną i śmiałą.

— Powtarzała mi ciągle pani de St. Gilles, ażebym była... courageuse i — zaśmiała się drobne splatając rączki — i spoglądała na głowy przed sobą jakby na makówki. Kazała mi powiedzieć sobie: „Jestem królową!“ — Papa mówił mi to samo. Et voilà, wstąpiłam na estradę odważnie bardzo. Ale potém... o, mon dieu! — złożyła dłonie — le coeur me manquait. Myślałam... och, podobno żem nic nie myślała!... Potém wstyd mnie ogarnął... odetchnęłam w duszy... króciutką westchnęłam modlitwą... i śpiewałam jak mogłam.

Soliński nie powiedział jéj, że śpiewała jak aniołek, bo osądził, że rzuciłby ziarnko jadu w młodziutką duszę — lecz patrzył się na nię z rozkoszném współczuciem — uradowany słowami, które z szczerotą wymówiła dziecięcą.

— Opodal dwie panie prawiły właśnie jéj matce najzwyczajniejsze salonowe komunały: jak to panna Cecylja po mistrzowsku wystąpiła w koncercie.

— En artiste consommée!

— A jaka szkoła!

— Jaka metoda!

— C'était délicieux!

— Byłam oczarowaną!

— Une angélique créature!

— Et quel chic! — zgododźwięcznym powtarzano chórem.

Wszedł do salonu pan siwawy, nieco dobréj tuszy, szlachetnéj twarzy i wejrzenia. Witano go w około. Cecylja pobiegła ku niemu i pokłoniła się z uszanowaniem.

— Czy go poznajesz? zapytał prawnik Solińskiego.

W téj saméj chwili przystąpił do niego gospodarz domu z nowoprzybyłym.

— Pan Andrzéj Niwiniecki — wymówił — pan Jan Soliński, wrócony nam szczęśliwie. Czyż się poznajecie?

— O Jasiu, jakżeż się cieszę, że ciebie widzę! zawołał pan Andrzéj i uścisnęli się dawni znajomi. — Słyszałem już wczoraj o przybyciu twojém.

Pogadali z sobą — lecz po chwili przerwał im zadźwięk fortepjanu dalszą rozmowę: Cecylja na wezwanie matki, w skutek prośb gości, zagrała. Soliński słuchał z pochyloną na dłoń głową. Pan Andrzéj zbliżył się do pupilki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O medalu na cześć Jana Matejki.

W odcinku „Gazety Narodowéj“ Nr. 83 b. r. pan Omikron nicuje protest podpisany przez trzynaście — jak sam przyznaje poważnych głosów — przeciw biciu medalu na cześć mistrzowi pendzla. Do tego protestu i myśmy głos swój stanowczo dopisali i podpisujemy go jeszcze, a to, pomijając wiele innych — z tego głównego powodu:

„Co znaczy bicie medalów?“

Znaczy:

1) uświetnienie jakiéjś okoliczności lub jakiegoś zdarzenia godnego pamięci potomnych;

2) oddanie czci zasługom osób.

Tak w pierwszym jak i w drugim razie — medal ma znaczenie pomnika dziejowego.

3) zadowolnienie, uznanie, dawane przez instytucje osobom prywatnym n. p. przy wystawach, examinach, wojnach i t. p. okolicznościach jako nagrody honorowe i t. d., które coraz to niżéj do prywaty schodząc, nazwą się ostatecznie: napiwnem i płacą się monetą;

4) świadectwo przywileju — n. p. medale dawane posłom do wstępu do izby poselskiéj i t. p.;

5) świadectwo obecności — n. p. członkom rady nadzorczéj gdy się pojawiają na sesji.

W ostatnich trzech kategorjach — medal ma znaczenie utylitarności — demonstracji.

Innych medalów obywatelskiego znaczenia nie ma. Samo z siebie rozumie się — że tu tylko może być mowa o pomniku dziejowego znaczenia, na jaki Matejko zasłużył. Ale takich pomników najważniejszém znamieniem jest: pora stósowna, czas właściwy.

Można było wybić Matejce medal — gdy ukończył kazanie Skargi, — gdy uzyskał medal na wystawie paryzkiéj. To była pora!... Możemy wybić mu medal gdy ukończy swą działalność, t. j. czego Boże broń: gdyby utracił ręce i nogi, — zaniewidział — lub umarł. To byłyby pory; — ale ni ztąd ni z owąd — właśnie w ciągu dzielności i działalności mistrza wyrywać się z medalem — jest to rzeczywiście sprowadzać medal — na znaczenie demonstracji lub utylitarności.

Ztąd słuszne oburzenie było podpisanych, a to tém więcéj — że na podobne pomnikowe medale zasługują i Kraszewski, i Maciejowski, i Kątski, i Modrzejewska — i każda znakomitość pierwszorzędna naukowa, literacka lub artystyczna. Zkąd więc dziś tylko Matejce a nie innym? Wolelibyśmy ażeby tym panom demonstrantom podpadło nazwisko Dawisona albo Bielowskiego, po wydaniu jego „Monumenta“ — dzieła zaiste pomnikowego...

Świadectwa zaś smutniejszego ubóstwa co do pojęć o uczczeniu Matejki nad to, które dał Omikron broniąc téj demonstracyjnéj niewczesności, ubliżającéj mężowi cichéj a sumiennéj pracy, — rzeczywiście nie znamy.

Redakcja.

ROZMAITOŚCI.

— **Czapskiego** hr. **Marjana**: „Historja konia.“ Poznań, 1874. Nakładem J. K. Żupańskiego wyszły dotąd dwa poszyty, t. j. do str. 320, z fotografją konia rasy polskiéj. Wspomnieliśmy już o tém dziele rzeczywiście zjawiskowém pod względem naukowéj, dziejowéj i literackiéj wartości. J. I. Kraszewski przygotowuje obszerny krytyczny jego rozbiór i pisze o niém w młodzieńczym zachwycie, żałując, że jeszcze nie dość wykwintne jego wydanie, lubo pod względem typografji nic prawie nie pozostawia do życzenia, oraz ubolewa nad kilku drobnemi błędami drukarskiemi, n. p. zamiast chevaucher — wydrukowano chevancher i t. p.

W tych dwóch zeszytach roztacza autor arcy-wspaniały, przebogaty obraz cywilizacji, przeplatany bardzo wielu nieznanemi u nas a nader zajmującemi anekdotami dziejowemi z całego świata. W obec konia, bohatyra téj epopeji, aż wstyd pobiera czytelnika, że w duszy przyznać musi, iż koń często zajmuje stanowisko moralne i socjalne, nieomal ludzkie, — a człowiek częstokroć ani końskiego nie dosięga.

— **Śleńdziński A. J.** „Poradnik dla urządzających zbiory przyrodnicze.“ Kraków, 1874. A. S. Krzyżanowski, str. 99. Przy rozbudzająęém się u nas zamiłowaniu do badań natury, mianowicie dzisiajsze szkólne pokolenie — powita z radością ilustrowaną xiążeczkę, zawierającą „sposoby wypychania ssaków, ptaków, płazów, gadów i ryb, zbieranie i zachowanie owadów, pajęczaków, robaków i innych zwierząt, zbieranie i zasuszanie roślin, oraz przysposobianie minerałów do zbiorów.

* * *

— **Konstanty Jelski**, podróżujący kosztem Konstantego hr. Branickiego po południowéj Ameryce, odkrył nowy rodzaj gryza — z rodziny szczurowatych, który opisał prof. Peters w Berlinie i nazwał na cześć mecenasa Dinomys Branickii. Dotąd znany tylko ten jeden okaz, którego Jelski zabił pałaszem, a który przeznaczony, jak i wszystkie zdobycze naukowe tego naszego rodaka, do gabinetu zoologicznego warszawskiego.

* * *

— Filozofji doktorem został za opłatą 200 talarów jakiś Steiner z Temeswaru. Agencja wrocławska przesłała dyplom ale na nazwisko „Schreiner'a“. Pisze więc dyplomowany do agencji żądając nazwiska zmiany. Na to otrzymał odpowiedź: że prześwietny fakultet nie może się wdawać w coś podobnego, ale jeżeli znowu przyśle 200 tal., to może dostać dyplom na nazwisko „Steiner“, gdyż nikt temu nie winien, że nieczytelnie napisał swoją nazwę. Z tego, według Gazety Narodowéj, wynika taki sens moralny, że kto chce zostać dziś doktorem filozofji, powinien umieć przynajmniéj nazwisko swoje czytelnie napisać.

* * *

— **Gerson Wojciech** wystawił w resursie warszawskiéj wspaniały obraz: Kiejstut i Witołd — więzieni przez Jagiełłę (1382), za który dostał na wystawie wiedeńskiéj medal. Następna legenda, z Wapowskiego wyjęta, natchnęła tego znakomitego Warszawy artystę: „Kiejstut pragnąc pokoju i woląc bez narażenia się na wątpliwą walkę rzeczy ułożyć, prócz tego zniewolony prośbami Skirgiełły i Witołda, nie domyślając się bynajmniéj zdrady, przybył razem z Witołdem do obozu Jagiełły, lecz skoro przed jego obliczem stanął, Jagiełło wyćwiczony w zdradach krzyżackich, którzy największą część sił jego składali, Kiejstuta i Witołda wojownikom swoim otoczyć i mimo ich wzywania Boga i ludzi na świadectwo swojéj krzywdy, w kajdany okuć kazał.“

* * *

— **Bełza Stanisław** przetłómaczył poprawnie i starannie dzieło: „L'instruction publique aux E'tats Unis“ (Publiczne pouczanie w Stanach Zjednoczonych północno-amerykańskich) — i zamierza więcéj dzieł najznakomitszych w pedagogji zagranicznéj — nam przyswojić.

* * *

— **„Prawnik“**, pismo tygodniowe, wychodzi we Lwowie pod nową redakcją Dr. Ernesta Till, — i od tego czasu zyskało wiele na wartości naukowéj, podawszy cały szereg artykułów prawniczych i gospodarstwa krajowego, napisanych przez powagi uniwersyteckie lwowskie.

* * *

— **Nazarejczycy.** W okolicy Hold-Mezö-Vasarhely we Węgrzech rozmnożyła się fanatyczna sekta Nazarejczyków, licząca do kilku tysięcy wyznawców, mająca swe zbory i swych duchownych. Jeden z sekciarzy, nazwiskiem Szabó, zbudził się rano i oświadczył, że miał sen, w którym Bóg mu nakazał ofiarę: ażeby zmazać grzechy swéj gminy. Wysłał żonę po dwóch świadków, którzy mieli towarzyszyć jego ofierze — i wróciła żona z matką i siostrą mężowemi, a po wspólnych modlitwach — mimo oporu tych kobiet — zabił swego własnego syna sześcio-kwartałowego, uciąwszy mu główkę toporem. Przed sądem utrzymuje — że jak Abrahamowi tak i jemu Bóg byłby zatrzymał w powietrzu topór — gdyby Mu ta ofiara nie była miłą!... (Gaz. Lwowska).

* * *

— **Młodnicki Karól** wykonał olejno dwa obrazy niewielkich rozmiarów, ale wprawiające patrzących na nie w smętną zadumę.

Wdowa siedzi nad kołyską a do jéj łona tuli się drugie pacholątko. Dwóch tandeciarzy żydów oglądają kosztowną jedwabną szatę, ostatni zabytek lepszych nieszczęśliwéj czasów, a trzeci żyd podaje jéj tak nizką cenę, że łzy z jéj oczu wyciska.

Cygański grajek oparty o mur opuszczonego gmachu, z taką namiętnością w muzyce słodzi czczość swego włóczęgowskiego żywota — że z jego twarzy melancholja płynie wprost w duszę patrzących na tę prostą a tyle wymowną, politowania godną dolę cyganów.

Skrzynka do listów.

Fryburg w Bryzgowji d. 2 marca 1874.

Autorem zamieszczonego w numerze 3 Tygodnika niemieckiego motto jest Mojżesz Mendelssohn. M. Mendelssohn — filozof — ur. 6 września 1729 w Dessau, wydał wspomniane dzieło swoje: „Phaedon oder ueber die Unsterblichkeit der Seele“ już w r. 1767, które to wydanie swego czasu studjowałem i w którém wspomniane motto dosłownie się znajduje.

Krzysztof August Tiedge — poeta — ur. d. 14 grudnia 1752 r. w Gardelegen — miał niespełna lat 15, gdy Mendelssohn pracę swą już ogłosił — nie można więc przypuszczać, iżby mąż tak światły i wówczas już powszechnie jako filozoficzny pisarz znany, miał od 15-letniego pacholęcia podobne twierdzenia filozoficzne pożyczać. Zresztą Tiedge wydał „Uranję‘ dopiero na początku bieżącego stulecia — a w końcu Tiedge zmienił zdanie to, gdyż w 18 wydaniu z r. 1862 „Uranji“ czytamy:

„Wir sind nicht um zu sein,
Wir werden, um zu werden.“

Miecz. Dunin-Wąsowicz

* * *

Dopełnienie do zapytania 13:

Samuel Sołtan był surrogatorem inflanckim — o czém wspomina o Sołtanach Niesiecki, a znajduję téż w obszernéj korespondencji, którą mam u siebie w rękopiśmie, wnuczkę tegoż Samuela księżnę wojewodzinę mścisławską Teodorę z Sołtanów Sapieżynę — tymczasem ani w pierwszym tomie Niesieckiego w opisie urzędów, ani w Encyklopedji powszechnéj, nigdzie nie znajduję wzmianki by exystował urząd surrogatora inflanckiego — a który dla samego nazwania inflancki, nie musiał być ani powiatowy ani grodzki. — Wyjaśnienie tego się uprasza.

A. L. S.

Sprostowanie:

W poprzednim numerze wydrukowano z winy drukarni całkiém sens psujące wyrazy: str. 114, łam 1, wiersz 25 od dołu: prawd zamiast praw, oraz str. 119, łam 2, wiersz 15 od dołu: zasad zamiast fasad.

Autor zaś i korektor przyznają się do winy błędów psujących sens, a powstałych z niedbałéj korekty i uprasza się o łaskawą poprawkę: str. 114, łam 2, wiersz 22 od dołu: po wyrazie „uczuć“ dodać: Czytelnik téj kategorji (wymaga itd.); tamże, wiersz 21 od dołu: go zamiast je; str. 115, łam 1, wiersz 6 od dołu: czytelnicy niepewni zamiast niepewności; str. 115, łam 2, wiersz 8 od góry dodać po (takim czytelnikom): zaczynającym czytać zamiast czytającym; tamże, wiersz 11 od dołu: ważniejszemi zamiast ważniejszém.

Odpowiedzialny redaktor Wilhelm Pohl. — Nakładem E. Calliera. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarni Tygodnika Wielkopolskiego, w księgarni K. Reyznera i u M. Leitgebera.